

KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Ilustrowanych“ na rok 1916**, zawiera **ilustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski**. Oprócz opracowanej systematycznie historii wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza“ dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący **obraz zniszczenia w Polsce, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów**.

Już tylko niewielka liczba egzemplarzy tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, jest do nabycia w Administracji „Nowości Ilustrowanych“ po cenie:

1 kor. 50 h. za egzemplarz broszurowany, **2 kor.** za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennnej, ozdobnej oprawie.

Kronika tygodniowa.

Znaną chyba w całym świecie, szczególnie zaś u nas, jest instytucja tak zwanych poobiednich kaw. W tym lub owym domu zbierają się w pewnych oznaczonych dniach znajome damy celem wypróżnienia kilku filiżanek cykoryi, zaprawionej kawą i podzielenia się zebranymi w mieście wiadomościami. Mężczyźni są od tych seansów z zasady wykluczeni, wyjątek stanowi tylko kasta tak zwanych „bawidamków“, pełniących przy boku dam funkcje adjutantów, towarzyszy podczas kwesty i tomboli na cele dobroczynne, reporterów od najświeższych wypadków, tragarzy i t. d. Ale i oni nie bywają dopuszczani do pełnej konfidencji, na zakończenie odbywa się tajne posiedzenie, podczas którego muszą opuścić pokój jadalny, wolno im natomiast czekać w przedpokoju, by potem poprowadzić do domu zwłaszcza podlotki (powyżej lat czterdziestu), żyjące w ciągłej obawie, by się przypadkiem nie dostały w ręce handlarza żywym towarem, który z pewnością wywiozłby je do Turcji i tam sprzedał do haremu jakiegoś baszy (...ale chyba tylko Staroturka, gdyż Młodoturk skwitowałby pewnie z tej przyjemności!).

Tematem rozmów są przede wszystkim sprawy polityczne i najnowsze depeche, nadeszłe „na własnym drucie“ (nigdy ich nie było!), wiadomości, do starczone przez pocztę pantoflową i wyżej wspomnianych „bawidamków“ i inne, tym podobne, na tajnym posiedzeniu roztrząsa się osobiste sprawy bliźnich bez względu na to, czy się z nimi żyje w przyjaźni, czy nie. Każda sprawa poruszana bywa przez specjalną referentkę i żywo omawiana. Zacietrzewienie dochodzi nieraz do tego stopnia, że w kąt parlament z najbardziej zazartą walką wrogich sobie stronnictw. Nawet własnym mężom dostaje się odpowiednia porcja przytychłości! Gdy się tak słucha zdaleka tej pogwarki, ma się złudzenie, że się jest na polu walki. Karabiny maszynowe terkoczą bez przerwy, od czasu do czasu odzywa się „gruba Berta“. To przewodnicząca zgromadzenia, najczęściej z wieku, rzadziej z urzędu, mająca głos decydujący...

Otóż tym sympatycznym „kawusiom poobiednim“ dzięki wojnie grozi zagłada, dla rozmaitości bowiem wprowadzono karty kawowe, przyznające na żołądek i ośm tygodni po pół funta kawy!

Konsternacja wobec tego pomiędzy damami nie do opisania, odbyło się już kilkanaście wieców w tej sprawie, zajmuje też ona cały porządek dzienny popołudniowych zgromadzeń. Pocciwe niewiasty żegnają się z kawą, a pożegnanie to jest tak wzru-

szające, że doprawdy wartaloby, aby zajął się tem któryś z naszych poetów i przekazał potomności w jakim mu się wierszu podoba! Im mniej będzie rytmu i rymów, tem więcej uczucia, jeśli zaś doda się jeszcze kilka błędów ortograficznych i gramatycznych, cel będzie osiągnięty w zupełności. Będzie to prawdziwy nastrój kawowy!

Ale, ba! Jakże poeta może spłodzić arcydzieło, skoro kawy brak, a on nią właśnie i dajmy na to morełówkami nasycił swe wnętrze i podniecał w ten sposób natchnienie... Kłapa więc na całej linii.

Poetami zajmować się ze względu na kawę nie będę, została im przecież morełówka, więc nie są tak opuszczeni, parę słów współczucia poświęcić jeszcze muszę nieszczęśliwemu, bo tak srodze dotkniętemu rodzaju owi żeńskiemu.

Onegdaj, jadąc tramwajem już koło południa, spotykam dwie damy z „towarzystwa“, obie w nieoczyszczonych jeszcze trzewikach (byłem pewny, że na znak żałoby za kawą!). Z natury jestem ciekawy, zacząłem więc słuchać, o czem mówią:

— Ach! Życie już człowiekowi obrzydło, moja droga pani! — narzekala jedna.

— Żeby ta wojna raz się już skończyła! — dodała druga.

— Niech sobie pani wyobrazi! Od siódmej jestem na nogach! A teraz siódma o szóstej! Chodziłam po sklepach za kawą, by dostać bodaj ćwierć funta, bo spodziewam się dziś gości popołudniu. U Szarskiego niema, u Jawornickiego także, u Meinla ścisk, że zdaje się, iż człowiekowi żebra połamią, u Suskiego to samo... A samej cykoryi przecież nie dam, boby mnie przyjaciółki obniosły po mieście!... Dopiero z wielkim trudem udało mi się kupić u Barberowskiego!

— I ja tam kupuję zawsze. Żałuję, że tam nie poszła, bo i ja za kawą chodzę od rana.

— To może i u kochanej paniusi dziś przyjęcie?

— Tak! Zbieramy się zawsze we czwartek. To już taka tradycja rodzinna. Tak było u mojej nieboszczki mamy, świeć Panie nad jej duszą, tak jest u mnie, a jak będzie na przyszłość, tego nie wiem!

— Oj, bieda, bieda, moja kochana pani... Ja tam wybrałam piątek. Po postnym obiedzie trzeba bodaj kawą wzmocnić wątłe ciało... Ale co tam w domu się dzieje?... Od rana nie byłam, nie wydałam dyspozycji co do obiadu, chyba że mąż się tem zajął!

— To on się zna na tem?

— Nauczyłam go!...

— Mój się jeszcze nie utemperował! Jestem pewną, że zrobił awanturę, iż zostawiłam go bez śniadania!

— Ma pani kochana wyródkę, że kawy brak!

— Kiedy on pija mleko...

— Także coś!...

Dalej już tej kawowej dyskusji nie słuchałem, pewny, że nieraz jeszcze przyjdzie zająć się tą sprawą.

I nie omyliłem się.

Zaledwie znalazłem się w domu, wpada do mego pokoju Weronisia, *ex re* kawy także od dwu dni zdenerwowana (zawiało mnie nawet z tego powodu i chodzę lekko napuchnięty... ale to przejdzie!) i woła mnie do salonu.

Posłuszny idę i zastaję tam cały zespół niewiast różnego wzrostu, wieku, tuszy i urody. Pokazało się, że jest to deputacja uczestniczek poobiednich kaw, mająca mnie prosić o łaskawą, a skuteczną interwencję. Prowadziła ją naturalnie Weronisia, przedstawiając po kolei damy, należące do wszelkich sfer społecznych. Były tam prywatyzujące, były nauczycielki, były doktorki, były urzędniczki, były mężatki, bezdzietne panny i rozwódki i wiele, wiele innych zawodów, a wszystkie powitały mnie jednym bolesnym okrzykiem:

— Kawy, panie, kawy!

Wysłuchałem przemowy, którą w imieniu deputacji wygłosiła Weronisia, choć jej przyjaciółki ciągle przeszkadzały, a ona, by nie wypaść z roli, gromić je mogła tylko wzrokiem, poczem, przybierając odpowiednią pozę, odrzekłem:

— Współczuję z paniami, bo i ja jestem amatorem kawy, wprowadzie czarnej, ale zato lekko rumem zakrapianej, czasem zaś kapucynka przyrzekam, że dołożę wszelkich starań, aby szanowne panie nie były ukrócone w swych najświętszych prawach. Jeśli będzie potrzeba, to pojadę nawet do Wiednia i pomówię w tej sprawie z ministrami, a oni liczą się z mem zdaniem. Choćbym zresztą nie chciał, muszę się tem zająć ze względu na mą kochaną Weronisię, która także lubi kawę i urzęduje od czasu do czasu popołudniowe przyjęcia...

— Wiemy, wiemy! — zawołały chórem — Znaną jest w całym mieście wasza staropolska gościnność.

— Wprawdzie ostatni raz śmietanka była zwa-

rzona, a babka z zakalcem... — przerwała jedna z deputatek, ale Weronisia spojrziała tak jadowicie na nią, iż w tej chwili zamilkła. Tak podobno bazyli-szek „fiksuje“ swe ofiary.

— Bez kawy się nie obejdziemy! — rzekła druga z pań — Mój pocciwy Maciuś tak lubi kawę. Zna kochany pan Maciusia?

— Nie, nie mam przyjemności! Zapewne małżonek pani dobrodziejki — ja jej na to.

— Ależ pfe! Skądże znowu... Ja jestem, dzięki Bogu, dotąd panrą!... To mój kotek, syn Mruczusi, prawdziwy angora...

— Jeśli potrzeba to i my pojedziemy w deputacji! — dodała trzecia — Jestem gotowa pojechać do Ojca Świętego i użalić się na naszą nieszczęsną dolę. Cóż my jesteśmy winne, że mężczyznom zachciało się wojny? Mamy za to cierpieć?... Albo może udać się do pana Wilsona, niechaj on ujmie się za naszą krzywdą...

— Jaby pojechała nawet do ludożerców! — zakończyła pewna stara panna, o której wiem, że watał sztukuje swe kształty. Dawniej używała i gumy, ale cały zapas zarekwirovano jej podczas ostatniej zbiórki.

— Nie radziłbym, łaskawej pani — ja jej na to — Tam byłaby pani narażoną na poważne niebezpieczeństwo...

— Dlaczego? — zapytała ciekawie.

— Gdyby im tak przypadł na panią apetyt, mogliby panią pociągnąć do odpowiedzialności sądowej za fałszowanie środków spożywczych! — tłumaczyłem, myśląc o owej wacie.

Nie wiem, czy zrozumiała, myślę przecież, że tak, popatrzyła bowiem na mnie wzrokiem takim jakimś melancholijnym, iż mnie samemu, aczkolwiek łatwo nie ulegam wzruszeniom, jakoś na chwilę słabo się zrobiło.

Koniec końców deputacja odeszła odemnie zadowolona, a i ja byłem kontent, że już poszła. Dowiedziałem się prywatnie, że uchwalono jednogłośnie, gdyby interwencja moja na coś się zdała, to jest, gdyby zażegnano brak kawy, kupić mi z ogólnych składek honorowe spodnie elektryczne, o których pisał *Kurgerek* w numerze 172.

Należą one do owego tysiąca sześciuset wynalazków, przedłożonych do patentu w angielskim ministerstwie wojny, a choć przeznaczone są wyraźnie dla żołnierzy w rowach strzeleckich, nie jest wykluczonem, że może w nich chodzić także i całkiem ordynarny cywil, taki, jak ja. Spodnie te, elektrycznie ogrzewane, a gorąco polecane przez wynalazcę (nadają się i dla lotników i automobilistów), sporządzone są z wełny, przetykanej delikatną siatką drucianą, połączoną z małą baterią elektryczną, pomieszczoną w małej kieszeni przy pasku. Jeden nacisk i mamy ciepło, drugi, robi się chłodno. Wogóle w tych regionach można będzie regulować temperaturę według upodobania. Na zimowe czasy, gdy grozi nam brak węgla, tego rodzaju spodnie to znakomite nabytek, sądę, że instytucje nasze dobroczynne powinny się już teraz zająć ich fabrykacją na wielką skalę.

Takimi spodniami można będzie otrzeć łzy niejednemu nieszczęśliwemu, bo jest to wynalazek prawdziwie epokowy... Ale może Anglia nie będzie chciała zdradzić tajemnicy mocarstwu centralnym.

W lecie tylko nie radziłbym używać tego rodzaju garderoby, wiadomo bowiem, że pioruny lubią uderzać w przedmioty metalowe, łatwo zaś mogłoby się zdarzyć, że cielesna powłoka, ukryta w „grzejących“ spodniach, nie zuiosłaby zbytniego elektrycznego napięcia.

W tym samym numerze *Kurgerka* jest mowa także i o filantropijnym bagnecie dla wojska, nie mającym ostrza i końca, nie zagłębiającym się też w ciało wroga. Gdy dotknie piersi, rozdziela się na dwa ramiona i obejmuje przeciwnika, jak obcęgami, równocześnie zaś doznaje on wrażenia, że ściska go jego żona lub narzeczona, wobec czego nie stawia oporu, lecz daje się swobodnie odprowadzić do niewoli. Sufrażystki angielskie zaopatrzyły się już podobno w takie bagnety.

Istotnie bajeczne wynalazki, zawdzięczamy je zaś tylko wojnie i to jest jedna jedyna jasna jej strona.

Smutną była dusza moja, gdy siedział do biurka, smutną jest też i kronika, ale na przyszły raz, obiecuję solennie, poprawię się z gruntu. Niechaj więc Czytelnicy czekają cierpliwie, a tymczasem niech płacą prenumeratę, nieco podwyższoną. Długo biliśmy się z myślami, podnieść ją, czy nie, musieliśmy się wreszcie zdecydować, gdyż absolutnie „nie da rady!“ W żaden sposób koniec nie chciał się zejść z końcem, a tu z dnia na dzień wszystko coraz droższe i droższe! Inne pisma dawno to już uczyły, my dziś dopiero idziemy w ich ślady.